

CORNELL WOOLRICH



 SAGA
EGMONT

ANIOŁ W CZERNI

CORNELL
WOOLRICH



 SAGA
EGMONT

ANIOŁ W CZERNI

Cornell Woolrich

Anioł w czerni

Tłumaczenie Violetta Dobosz

Saga

Anioł w czerni

Tłumaczenie Violetta Dobosz

Tytuł oryginału *The Black Angel*

Język oryginału angielski

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1943 by Cornell Woolrich

Copyright © 1971 by JPMorgan Chase Bank, N.A. as Trustee of the
Claire Woolrich Memorial

Scholarship Fund u/w of Cornell Woolrich

Copyright © 2022 by JPMorgan Chase Bank, N.A. as Trustee of the
Claire

Woolrich Memorial Scholarship Fund u/w of Cornell Woolrich

Copyright © 2007, 2022 Cornell Woolrich i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728125236

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa
medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera
dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

1

Anioł ze szczotką do ubrań

Zawsze nazywał mnie swoim Aniołem. Tak się do mnie zwracał, gdy byliśmy sami. Było to coś niezwykłego, specjalnie od niego dla mnie. Przybliżał swoją twarz do mojej i mówił cichym głosem. Mówił, ciekawe, skąd ją wzięłam, tę anielską buzię. I inne takie rzeczy, które mąż zwykle mówi żonie.

Aż raptem wszystko się skończyło. I zanim się obejrzałam, minęły tygodnie, odkąd to ostatni raz słyszałam. Czekałam, by wróciło, i zastanawiałam się, czemu nie wraca. Wreszcie przestałam się też zastanawiać.

W szafie brakowało jego niebieskiego garnituru, i to było dziwne. To do moich obowiązków należało posyłanie rzeczy do pralni. Przejrzałam jeszcze kilka wieszaków. Przesuwałam się w lewo po jego części szafy.

Szarego też brakowało, i to było jeszcze dziwniejsze. Dwa garnitury naraz? Więcej przecież nie posiadał poza tym, który miał na sobie.

Gdyby przedtem to i owo się nie wydarzyło, byłoby zupełnie inaczej. Byłaby to jedynie sprawa dwóch garniturów, które znikły z szafy. To i owo jednak się wcześniej zdarzyło. I dlatego było teraz tak, a nie inaczej.

Jakieś kłamstewko, gdy nie było powodu kłamać. Wieczór spędzony u jednego z kolegów, gdy wypił trochę za dużo piwa. Nic nie szkodzi. Powiedziałam mu to. Powiedziałam: „Nie pytałam cię, Kirk. Mówisz mi to sam z siebie”. Potem, zaledwie tydzień później, ów kompan gościł przypadkiem

w naszym mieszkaniu, a ja ze śmiechem wspomniałam mu o tamtym zdarzeniu; tylko dlaczego popatrzył z taką konsternacją, zdziwieniem i odpowiedział tak ostrożnie, wymijająco? Dopóki Kirk, stojąc z boku, nie dał mu dyskretnego znaku, którego udawałam, że nie widzę, zdawał się wyczyniać cuda ze swą pamięcią, żeby tylko sobie przypomnieć.

A potem była puderniczka. Znalazł ją na ulicy i włożył do kieszeni płaszcza. Zobaczył, jak ją oglądam, i opowiedział, jak wszedł w jej posiadanie. Ludziom zdarza się gubić puderniczki. Nawet takie porządne, złote, z wygrawerowanym napisem: „Od Craiga dla Mii”.

Jednak już nazajutrz puderniczka znikła. Spytałam, gdzie się podziała.

— Och, pozbyłem się jej — rzucił obojętnie.

Lecz przecież była złota, nieprawdaż? — próbowałam wtedy sugerować.

— Nie — wyprowadził mnie z błędu. — Też tak myślałem, ale poszedłem do jubilera, żeby sprawdzić. To był zwykły tombak. Tam ją zostawiłem.

Jednak czy na rzeczy, która nie była ze złota, umieszczono by symbol „14K”, taki jaki był na tamtej? — zastanawiałam się w duchu. Nie powiedziałam mu, że to zauważyłam. Nie wiem dlaczego. Kiedy ogarnia cię złe przeczucie, że szczęście zaczyna wymykać się z rąk, trzymasz się go tak kurczowo, jak tylko zdołasz; nie próbujesz go jeszcze od siebie na siłę odsunąć.

Właśnie takie drobiazgi, to one sprawiły, że sprawa dwóch brakujących garniturów wydała się czymś wielce niezwykłym już na pierwszy rzut oka.

Co więcej jednak, od tygodni nie słyszałam o „Aniele”. Wciąż tylko Alberta, ta urzędowa Alberta, której nigdy wcześniej nie używał, gdy miał mi coś do powiedzenia.

Podobno każdy musi przez to przejść przynajmniej raz. Podobno najlepiej dać spokój, udawać, że się nic nie zauważa, a wszystko samo minie. Podobno. Ale spróbuj tylko — kiedy masz dwadzieścia dwa lata i zdarza ci się to po raz pierwszy.

Chyba jestem tchórzem. Nie powiedziałam Kirkowi, że poszłam do jubilera — gdzie jak twierdził, zostawił puderniczkę — by spróbować ją odzyskać, a przynajmniej upewnić się, że *nie jest* złota, a Kirk nie został oszukany. — Jaka puderniczka? — zdziwił się jubiler. — Nie było tu nikogo z żadną puderniczką.

Mógł kłamać; nie potrafiłam tego powiedzieć. Może nie chciałam wiedzieć niczego na pewno.

Co za dziwne imię, Mia — myślałam w drodze powrotnej.

Zobaczyłam ją później. Nie byłam pewna, czy to ta sama osoba. Może miałam przed sobą inną kobietę o tym samym imieniu. Ale to takie rzadkie imię. Zdawało się niemożliwe, by nosił je ktoś jeszcze w całym mieście. Ujrzałam ją na zdjęciu w teatralnym dziale wieczornej gazety. No, wicie, był to jeden z tych obrazków, którymi od czasu do czasu wypełniają wolne miejsce, nie żeby prezentowały jakąś szczególną wartość.

Pamiętam, że wycięłam to zdjęcie, wiedzioną chorobliwą ciekawością, która każe robić takie rzeczy, i wsunęłam pod papier wyściełający dno szuflady w komodzie, gdzie nikt poza mną raczej nie miał szansy go znaleźć.

Mogła to nie być ta sama osoba, przecież nic o niej nie wiedziałam. Jednak miała tak niezwykle, tak rzadko spotykane imię.

Nie próbowałam z nim o tym rozmawiać. Bałam się zaryzykować. Schowałam głowę w piasek jak struś w nadziei, że wszystko przejdzie, przeminie, a ja nie będę musiała spojrzeć prawdzie w oczy.

A teraz ta sprawa z garniturami — koniec końców musiałam więc się z tym zmierzyć.

Odwróciłam się od szafy pobladała na twarzy. Przeszłam do schowka w przedpokoju, gdzie to pomiędzy wyjazdami służbowymi Kirk trzymał walizkę, pustą i nie zamkniętą na kluczyk. Kucnęłam, lecz zatrzaski nie chciały puścić; były zabezpieczone. Wsunęłam dłoń w uchwyt i próbowałam unieść ją z podłogi, ale niemal urwała mi rękę, taka była ciężka. Wszystko było już gotowe do drogi.

Upuściłam ją ze stukotem. Zdawała się pływać przez chwilę niczym wielka skórzana łódź po stawie, jaki wezbrał w moich oczach. Powiedziałam sobie: „To nie to, co myślisz. To tylko podróż służbowa, wysyłają go z firmy”. Lecz jeśli tak, dlaczego mi nie powiedział? Zawsze mówił. Zawsze to ja pakowałam mu rzeczy na wyjazd.

Ciekawe, kiedy zdążył się z tym uwinąć. Pewnie dziś rano; wstał wcześniej ode mnie. Jeszcze bardziej dziwiło mnie jednak, że w ogóle miał serce, by to zrobić.

Przypomniało mi się coś, co kiedyś usłyszałam: „Wszyscy oni to tchórze, gdy chodzi o pożegnania. Z gołymi rękami rzucają się na uzbrojonego włamywacza, lecz żaden nie pożegna się ostatecznie z kobietą, wybierając zawsze ukradkową ucieczkę”.

Nie wiem, kiedy znalazłam się przy telefonie i kończyłam wykręcać numer jego biura. To szeptane błaganie w ciszy oczekiwania, to byłam ja. — Niech to będzie podróż służbowa. Och, proszę, żeby to było tylko to.

Zapytałam sekretarkę samego szefa. Była miła. Spotkałam ją raz czy dwa. Na szczęście Kirka akurat nie było; to dało mi pretekst, by właśnie ją zapytać.

— Nie wie pani przypadkiem, czy on nie wybiera się w najbliższym czasie w podróż na polecenie pana Jacobsa? Zapomniałam go zapytać, zanim wyszedł rano, a tak się

składa, że przeglądam jego ubrania i zastanawiam się, czy mogę spakować część do pokrowców, czy powinnam poczekać, w razie gdyby potrzebował ich na wyjazd.

Ciekawe, czy w jej uszach zabrzmiało to równie kulawo jak w moich.

— Nie musi się pani przejmować — odparła. — W najbliższych miesiącach mąż nigdzie się nie wybiera. Przynajmniej do końca wiosny. W interesach teraz panuje zastój. Słyszałam, jak pan Jacobs to wczoraj mówił.

Miałam wrażenie, że ze słuchawki sączy mi się do ucha lodowata ciecz. Rzuciłam jeszcze kilka słów, lecz uczyniłam to tylko siłą rozpędu; nie było już tak naprawdę nic więcej do powiedzenia.

Nawet się nie pożegnałam. A ona owszem, w pewien szczególny sposób. W sposób, który uświadomił mi, że nie jest głupia. Tuż przed odłożeniem słuchawki usłyszałam, jak mruczy niemal ze współczuciem:

— Niech się tak pani nie przejmuje, złotko.

Nie pamiętam, co robiłam przez jakiś czas potem. Myślę, że siedziałam zwyczajnie na krześle przy telefonie. Wreszcie zaczął się we mnie rodzić bodziec do działania, z początku powoli, jako słabe podrygiwanie, które przybierało na sile, aż zakończyło się gwałtownym zrywem.

Wpadłam do pokoju i otworzyłam szufladę komody. Odgięłam wyściełający papier i wyjęłam to, co przed kilkoma tygodniami wycięłam z gazety.

Jej podobizna wyryła się już dokładnie w moją pamięć. Skrawek papieru z jej zdjęciem powinien już być wyświechtany i pognieciony, tyle razy wyjmowałam go i oglądałam, gdy byłam sama.

Wyglądała tak pięknie, jak można wyglądać tylko na fotografii w gazecie. Pewnie ze dwa razy piękniej niż w rzeczywistości. Była brunetką, tak jak podpowiedział mi odcień pudru w pudernicze. Oczywiście miała wielkie i senne,

a usta wydęte i lekko nadąsane. Wyglądała na taką, od której lepiej trzymać się z daleka, ale cóż, nie jestem mężczyzną; na nich, zdaje się, działa to całkiem odwrotnie. Szczupłą, zgiętą ku górze ręką wskazywała różę na swoim ramieniu. Co ją podtrzymywało, tę różę, nie bardzo było wiadomo. Nie było widać nic, dopóki nie spojrzało się na sam dół, gdzie ramka obcinała ją o milimetr za nisko. Napis pod spodem głosił: „Mia Mercer, jedna z wieczornych atrakcji Pustelni Dave’a Hennessy’ego”.

Tym razem nie odłożyłam zdjęcia. Nie wypuszczałam go z rąk. Nie chciałam trzymać się tak kurczowo jej fotografii; to *jego* nie chciałam wypuścić z rąk. Zabrałam ją ze sobą do kuchni i o coś oparłam. Sięgałam po omacku do wiszących wysoko szafek, dopóki nie namacałam i nie ściągnęłam tej jego butelki dżinu na specjalne okazje. Nie wiedziałam za dobrze — jeszcze nie — jak się go przyrządza. To była jego domena, nie moja. Doskonale potrafił doprawić go miętą i cytryną, lecz ja nie potrzebowałam teraz takiego certolenia — potrzebowałam odwagi. Nalałam trochę do miarki i wychyliłam. Przez chwilę miałam wrażenie, że kawał tynku odpadł z sufitu i runął mi na piersi.

Siedziałam, wpatrując się w jej zdjęcie i z całego serca jej nienawidząc. Nalałam sobie jeszcze i znów wychyliłam. Tym razem sufit się na mnie nie zawalił. Zamiast tego poczułam, jak od środka z wolna zalewa mnie ciepło. Posiedziałam i popatrzyłam na nią jeszcze trochę.

Chyba to dżin kazał mi podjąć decyzję. Tak, to na pewno dżin. Dżin sprawił, że wszystko zdawało się takie łatwe, takie możliwe. Nie pobudzona nim, skuliłabym się na myśl o takim czynie. Wydałby mi się on czymś rodem z taniego romansu. Dżin sprawił zaś, że wydało mi się to całkiem logiczne, zupełnie naturalne i w żadnym razie nie daremne.

Wstałam i zaczęłam się ubierać. Ubierać jak na wizytę, rzecz jasna. Dokładałam większych starań, strojąc się dla niej niż kiedykolwiek dla niego. A jednak pośrednio to dla niego tak naprawdę się stroiłam. Musiałam się starać. Miały na mnie spocząć oczy wroga.

Wreszcie byłam gotowa i szybko wyszłam. Wiedziałam, że jak nie wyjdę szybko, to nie starczy mi odwagi, by wyjść w ogóle. Zaczynałam już trzeźwieć po dwóch miarkach dżinu, więc przystanęłam na moment, by wychylić trzecią, by wytrwać.

Potem wyszłam, zamknęłam za sobą drzwi i pierwszy raz od czterech lat guzik mnie obchodziło, co będzie na kolację.

2

Anioł z wizytą

Wcałej tej „Pustelni” podali mi tutejszy adres. Była to jedna z prywatnych rezydencji przerobionych i podzielonych na mieszkania. Ale z tych drogich, nie tanich. To miejsce zapewniało absolutną dyskrecję. Żadnych odźwiernych w holu, automatyczna winda. Drzwi zamykały się na zatrask. Tak, pomyślałam z goryczą, taka dyskrecja na pewno była jej potrzebna.

Weszłam na niewielki ganek i znalazłam jej nazwisko przy jednym z małych guziczków obok wejścia, lecz nim zdążyłam przyłożyć doń palec, drzwi otworzyły się i wyszedł jakiś dostawca z pustym pudłem. Uprzejmie mnie przepuścił, więc weszłam; nie musiałam obwieszczać swego przybycia, ryzykując, że nie zostanę wpuszczona.

Chwilę później już stałam przed drzwiami jej mieszkania na pierwszym piętrze. A będąc tam, zapragnęłam znaleźć się z powrotem w domu; chciałam być w tej chwili gdziekolwiek, byle dalej od tego miejsca. Sztuczna odwaga będąca owocem trzech miarek dzinu zdążyła już częściowo ze mnie ujść i znów ujrzałam swój zamiar jako coś niedorzecznego i z góry skazanego na niepowodzenie, czym w istocie było. Jedyny powód, dla którego nie odwróciłam się na pięcie i nie czmychnęłam, zanim zdążyła wyjść i stanąć ze mną twarzą w twarz, był taki, że skoro już stałam przed tymi drzwiami, wydawało się rozsądne poczekać i sprawdzić choćby, czy trafiłam na właściwą osobę. Byłam w tej chwili niemal całkowicie pewna, że tak.

Nie spodobała mi się uwaga rzucona w „Pustelni”, kiedy tam byłam. „Panna Mercer zadzwoniła do nas z wiadomością jakieś dwa, trzy dni temu. Powiedziała, że wybiera się na krótkie wakacje...” Ach, tak? — pomyślałam z goryczą. Ciekawe z kim?

Beznadziejność tego, co zamierzałam zrobić, uderzyła we mnie z nową siłą. Mimowolnie przyłożyłam dłoń do czoła i pomyślałam:

„Czego ja się spodziewam? Co dobrego z tego wyniknie?”

Nie spieszyła się, by otworzyć. Odwaga sączyła się ze mnie, z każdą chwilą było jej coraz mniej. Jeśli poczekam na to spotkanie jeszcze trochę dłużej, nie zdołam w ogóle otworzyć ust. Była to jedna z tych spraw, które należy załatwiać w białej gorączce. Jak już się przystanie i pozwoli sobie ochłonać, nie ma się sił przebrnąć dalej. Zadzwoniłam ponownie, dłużej, mocniej, głośniejsze.

Nie było jej.

Nacisnęłam klamkę, chyba tylko w odruchu mojej frustracji. Drzwi jednak uchyliły się do środka na trzy, cztery centymetry. Musiały być nie zamknięte przez cały czas. Otworzyłam szerzej i przytknęłam do nich twarz. Zobaczyłam wycinek pokoju, pasek na jakieś trzydzieści centymetrów szeroki, w którym dominował mocny turkusowy kolor.

Odchrząknęłam. Odezwałam się nawet. Rzekłam: — Przepraszam? — lecz nikt nie odpowiedział.

To, że jej nie zastałam, dodało mi śmiałości. Zapomniałam o swojej chęci ucieczki zaledwie sprzed chwili. Weszłam do środka, cicho zamknęłam za sobą drzwi i stałam przez moment z ręką na klamce. Wreszcie zdjęłam dłoń powoli i tak oto dokonała się moja inwazja.

Byłam na terytorium wroga.

Rozglądałam się uważnie. Myślałam: „A więc to tak żyją te, które... tak żyją”. Było to dzieło projektanta, ten

pierwszy pokój. Niemalże jak scenografia. Miła dla oka, gdy się ją ujrzało zaraz po wejściu, lecz nie tak miła do zamieszkania. Zbyt krzykliwa. Cały pokój zalany był tym jaskrawym turkusem: tapicerka, wykładzina, zasłony, abażury. Strasznie się w nim ktoś lubował, albo ona, albo projektant. Tu i ówdzie na tym turkusowym tle, niczym krople krwi, widniały plamy cynobru.

Pokręciłam głową, nie tyle wyrażając swe moralne potępienie, ile dając posłuch własnemu wyczuciu wartości. To wszystko lipa, żadne wielkie halo; zbyt wysoko ją wszyscy cenili. Z nas dwóch to ja miałam lepsze życie; od czasu do czasu zmartwił mnie jakiś rachunek, ale przynajmniej mogłam pożegnać gości, gdy miałam na to ochotę, i zamknąć za nimi drzwi na noc. W każdym pomieszczeniu, myślałam, rozglądając się dokoła, powinien znaleźć się choć jeden brzydki albo podniszczony mebel. Dzięki niemu z pomieszczenia robi się porządny pokój, a nie taka sala muzealna jak tutaj.

Przesunęłam się nieco w głąb. Niespodziewanie mignęło moje własne odbicie w lustrze. Nie zauważyłam go wcześniej i przeraziłam się jak przyłapany złodziej, by zaraz obrócić się i rozpoznać własną twarz. Nie pasowałam do tego miejsca, nawet w lustrze. Z przedmieścia wdarłam się w blask światła wielkiego miasta. Z Washington Heights do Sutton Place. „Anioł”, tak mnie nazywał. Cóż, może i byłam jak anioł, ale w tym momencie jakiś taki mdły, zupełnie bez wyrazu. Te oczy nie umiały patrzeć tajemniczo, nawet gdy próbowały, mogły być co najwyżej... naiwne, chyba tak by to można określić.

Zwieńczone łukiem przejście prowadzące do drugiego pokoju podpłynęło ku mnie, gdy ja płynęłam ku niemu. Zobaczyłam przez nie fragment buduaru i podczas gdy w pierwszym pokoju dominował turkus, to tu królował

soczysty, koralowy róż. Tonął w nim cały pokój, nawet obite satyną ściany.

Zobaczyłam jeden koniec pokrytego koralową satyną szezlonga z pomietą kapą na wierzchu i porzuconym, przewróconym do góry podeszwą rannym pantoflem pod spodem. Musiała ubierać się w strasznym pośpiechu.

Przeszłam na jedną stronę wejścia, potem na drugą, nie zbliżając się ani o krok, dopóki nie ogarnęłam wzrokiem całej sypialni z miejsca, gdzie stałam. Nikogo nie było. To była taka odruchowa ostrożność; wiedziałam, że zauważono by mnie i zatrzymano już dawno, gdyby ktokolwiek się tu znajdował.

Zaczekałam jeszcze chwilę dłużej. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu wydawało mi się, że mniej nagannie będzie dać się złapać w jej pokoju dziennym niż w miejscu o wiele bardziej prywatnym, w buduarze. Snułam się dokoła bez celu, co rusz zerkając na drzwi, którymi weszłam. Podchodziłam to tu, to tam, tego dotknęłam, tamto ostukałam, na czymś jeszcze innym, przechodząc, ustawiłam niczym trójnog swoje trzy palce. Była to jedyna zewnętrzna oznaka napięcia, jakie mną władało.

Na wszystkim znajdowały się monogramy Wyglądało to na kolejną z obsesji. Był pewnie taki czas, kiedy nie miała za wiele, zatem teraz, gdy miała wszystkiego w bród, musiała pokazać, do kogo to należy; nie mogła pozwolić, by patrzący zwyczajnie sam do tego doszedł. Wymyśliła sobie znak złożony z dwóch M nachodzących jedno na drugie, tak że wyglądały jak jedna litera, lecz z czterema nogami. Siedziała pewnie całą noc, żeby wpaść na coś tak genialnego, stwierdziłam. Byłe szóstoklasista w dziesięć minut z zegarkiem w ręku wykombinowałby coś o wiele bardziej oryginalnego.

Było tym znakiem usiane dosłownie wszystko. Zdziwiłam się tylko, nie widząc literek na grzejnikach, szybach

w oknach i takich tam. Były za to na papierośnicach i papierosach w środku, na pudełkach zapalek, na rogach poduszek i...

Nagle gdzieś w pokoju tuż obok mnie zaczął dzwonić telefon. Mówi się czasem, że ktoś „omal z butów nie wyskoczył”. Ja z moich wprowadzie nie wyskoczyłam, lecz jeśli nawet nie uniosły się one na moment z miękkiego dywanu, to odniosłam wrażenie, że to właśnie miało miejsce, tak się wzdrygnęłam ze strachu.

Przez dłuższą chwilę stałam absolutnie bez ruchu, czekając, aż przestanie brzęczeć. Nie przestał. Dzwonił i dzwonił, aż nie mogłam tego dłużej znieść. Co gorsza, z początku nie mogłam dojść, gdzie stoi aparat, nawet idąc za dźwiękiem. Był gdzieś blisko, w tym samym pokoju co ja, lecz nigdzie go nie widziałam.

Szukałam wszędzie — z drzeniem, pośpiesznie i ukradkowo. Dzwonienie zdawało się bardziej wyraźne w jednym kącie, gdzie stał pomalowany na turkusowo mebel przypominający komodę. Drapnęłam środkową część i opadł blat, tworząc coś na kształt sekretarzyka. Stał tam w środku, błyszczący i turkusowy, dopasowany do reszty, i brzęczał, jakby się gdzieś paliło. Tuż obok leżał mały notes z adresami, oprawiony w miękką skórę pofarbowaną na ten sam wszechobecny kolor i z wytłoczonym tym samym wszechobecnym monogramem.

Zdjęłam w końcu słuchawkę z widełek, żeby go uciszyć. A skoro miałam ją już w dłoni, podniosłam rękę do ucha i stałam tak w ciszy.

Natychmiast odezwał się męski głos, w którym dało się wyczuć pośpiech i poufałość.

— Halo, Mia? — I zaraz znowu, bo z mojej strony nie padła żadna odpowiedź: — Halo, Mia?

Ten głos. Rozpoznałabym go wszędzie. Wolną rękę oparłam o blat sekretarzyka i stałam tak bez sił, skulona

jak ktoś, kogo nagle zabolął brzuch.

— Halo? — powtarzał. — Halo, Mia?

Kolory w pokoju trochę się rozmazały, kropelka czy dwie turkusu jakby mi wpadły do oczu. W tym przeklętym mieszkaniu człowiek ronił nawet turkusowe łzy.

Nie miałam ochoty na tanie zagrywki z zaskoczenia, na triumfalne wymierzenie kary. Nie chciałam być dla niego okrutna. Dość, że on był okrutny za nas oboje. Odłożyłam słuchawkę po cichu, niemalże z czułością.

Nie musiałam się już dłużej kłopotać, czy namierzyłam właściwą osobę.

Opadły mnie ze wszystkich stron szalone, pozbawione logiki myśli. „Dlaczego rozkochują cię w sobie, skoro potem zamierzają potraktować cię w ten sposób? Dlaczego skaczą dokoła ciebie, gdy masz siedemnaście lat i nic im nie zrobiłaś, zwyczajnie pilnujesz własnego nosa, świetnie się bez nich obywając, jeśli tak właśnie zamierzają postąpić, gdy będziesz mieć lat dwadzieścia dwa? Dlaczego nie zostawia cię w *spokoju*?” Szlochałam w głębi duszy, gdzie nikt nie mógł mnie usłyszeć. „Dlaczego nie zostawia cię w *spokoju*, jeśli myślą o tobie poważnie?”

Nie bardzo wiedząc, co robię, podeszłam z powrotem do łukowego przejścia wiodącego do sąsiedniego pokoju. Chyba myślałam, że to wyjście na korytarz. Gdy spostrzegłam, co to jest, przystanęłam, by odwrócić się i ruszyć w drugą stronę.

W środku jednak na toalecie spostrzegłam kryształową ramkę z jej zdjęciem, z którego uśmiechała się do mnie drwiąco, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz? Nie żałujesz teraz, że tu przyszłaś? Gdybyś tego nie zrobiła, nadal nie miałabyś pewności”. I zalała mnie nienawiść, i spłynęła na mnie gorycz, i ruszyłam naprzód, chciałam do tego zdjęcia dojść i wziąć je do ręki. Pewnie żeby je roztrzaskać albo zrobić coś równie dziecinnego.

Nie patrzyłam, gdzie idę, i potknęłam się o coś, omijając szezlong, który stanął mi na drodze.

O stopę, o sterczącą spod niego nogę. O to, co do tej pory brałam za porzucony ranny pantofel. Nawet z miejsca, gdzie teraz stałam, gdyby nie przerażająca wyrazistość obleczonej w jedwab kończyny, nadal wyglądało to jak kłębowisko buduarowych jaśków, peniuaru i kapy z szezlonga, które ktoś wymiętosił i rzucił, tworząc bezładną hałdę na podłodze akurat w tym miejscu.

Przypuszczam, że wydałam stłumiony okrzyk. Nie pamiętam. Kucnęłam niepewnie i odsunęłam nieco na bok jedną z poduszek. Była obleczone w koralową satynę, taką miękką, taką niewinną. A jednak posłużyła komuś, by ją udusić.

Choć żaden mężczyzna nie był dla niej całym życiem, to jeden z nich życie jej odebrał i leżała teraz martwa.

Żałowałam, że ruszyłam tę poduszkę. Bo ta wykrzywiona, sina maska ze zwisającym językiem w ogóle nie przypominała już zdjęcia w kryształowej ramce.

Podniosłam się, czując chłód, mdłości i strach. Jeszcze nigdy nie widziałam martwej istoty ludzkiej. Dosłownie nie mogłam oderwać od niej wzroku. Wycofałam się ostrożnie, szłam krok za krokiem tyłem, jakbym się bała, że jeśli odwrócę się plecami, to ona wstanie i się na mnie rzuci.

Gdy dotarłam do łukowego przejścia pomiędzy pokojami i wreszcie się obróciłam, na moment ogarnęła mnie panika. Panika typowa dla każdej młodej, nie znającej życia, niezbyt bystrej istoty. Wykonałam kilka bezcelowych zwrotów to w tę stronę, to w drugą; w końcu odnalazłam drzwi i rzuciłam się ku nim, a moja przerażona dusza krzyczała: „Wypuście mnie stąd! Chcę stąd wyjść! Nie chcę tu zostać... z *nią!*”

Wtedy, w ostatniej chwili, kiedy już dopadałam do drzwi, nawiedziła mnie myśl o Kirku i chyba jakiś opiekuńczy instynkt — sama nie wiem, co to było — zatrzymał mnie w miejscu i trzymał tak przez chwilę.

Nie mogą go z nią skojarzyć. Nie mogą się dowiedzieć, że ją znał albo nawet... Odwróciłam się i zobaczyłam telefon po drugiej stronie pokoju z blatem przed nim opuszczonym tak, jak go zostawiłam. A obok ten jej malutki notes z adresami. Podbiegłam, wzięłam go do ręki i przewróciłam kilka kartek. Były tam, pod *M*, po prostu ogromne. Jego nazwisko i numer do biura.

Najpierw miałam zamiar wydrzeć zwyczajnie kartkę, a resztę zostawić. Potem jednak stwierdziłam, że to zauważą; wyglądałoby to zbyt podejrzanie. Wetknęłam więc cały notes w nienaruszonym stanie do swojej torebki, po czym ją zapiełam. Nie uda im się znaleźć tutaj *jego* nazwiska, o tak, jeśli tylko coś mogę na to poradzić.

Rozejrzałam się uważnie. Nie wypatrzyłam niczego więcej, co mogłoby go w tę sprawę wplątać, a do tego... tego drugiego pokoju nie miałam zamiaru więcej wchodzić, nawet przez wzgląd na niego.

Powiedziałam sobie, że lepiej, bym sama już się stąd zbierała. Ktoś mógł wejść w każdej chwili, a wtedy...

Mimo wszystko miałam dość rozumu, by nie wyskoczyć za drzwi bez uprzedniego sprawdzenia, przez co mogłabym narazić się na natychmiastowe czołowe zderzenie z kimś na zewnątrz. To niesamowite, jak szybko nasz instynkt, pozostawiony sam sobie, dostosowuje się do najdziwniejszych nawet, najbardziej nieoczekiwanych sytuacji, jakbyśmy byli przyzwyczajeni do napotykania tych sytuacji w naszym życiu na co dzień. Dlatego też zamiast od razu otworzyć drzwi na oścież, stałam przy nich przez dłuższą chwilę i nasłuchiwałam w skupieniu, zanim wykonałam kolejny ruch.

Ponieważ stałam tam tak nieruchomo z głową przechyloną pod pewnym kątem, przypadkiem uświadomiłam sobie obecność barwnej plamki na tle kremowych drzwi. Dostrzegłam ją na styku skrzydła z framugą po przeciwnej stronie, tam, gdzie były zawiasy — coś tkwiło nad jednym z nich, nad tym niższym, jakby zjechało po krawędzi w dół i zatrzymało się dopiero, napotkawszy przeszkodę.

Nawet gdy już to zauważyłam, nie przejęłam się; taki drobiazg nie był w stanie obwieścić mi żadnego znaczenia w mym obecnym stanie napięcia i niepokoju wywołanego pragnieniem wyjścia. Dopiero gdy nacisnęłam klamkę i powoli uchyliłam skrzydło, ruch barwnej plamki znowu przyciągnął mój wzrok do miejsca, gdzie się znajdowała, i spostrzegłam, że coś wypadło z poszerzonej szczeliny pomiędzy skrzydłem a framugą i że barwna plamka znalazła się teraz na podłodze, kwadracik wielkości pocztowego znaczka widziany z miejsca, gdzie stałam. Schyliłam się, podniosłam go i dopiero wtedy zobaczyłam, co to właściwie jest: zwyczajny ka wałek tektury, wierzchnia część pudełka od zapalek, przecerta i złożona na pół, i jeszcze raz na pół, i wetknięta w szczelinę, by służyła jako klin. Najpewniej miała wyhamować nieco drzwi — tak by sprawiały wrażenie zamkniętych, lecz by zapadka nie wskoczyła na miejsce i zamek się nie zatrzasnął. Innymi słowy chodziło o to, by można je było później w każdej chwili otworzyć z zewnątrz, zwyczajnie naciskając klamkę, tak jak to robiłam.

Klinik przetrwał w szczelinie trzy przejścia, byłam tego pewna: wejście i wyjście tego, kto jej to zrobił, a potem moje wejście, by wreszcie wypaść, kiedy poruszyłam drzwiami po raz czwarty, wychodząc. Do tej pory najwyraźniej ześlizgiwał się zwyczajnie w szczelinie, dopóki nie napotkał na zawias.

Mój umysł nowicjuszki uznał to z początku za niesłychanie ważny, wręcz kluczowy ślad, lecz kiedy z zapartym tchem rozłożyłam tekturkę, wszelka nadzieja we mnie umarła i zobaczyłam, że nie ma ona żadnego znaczenia, niczego nie mówi poza tym, co zdradziła już sama jej obecność w tym miejscu.

Pudełko, z którego pochodziła tekturka, należało do niej. Było na nim to wszędobylskie *M*. Było niebieskie, ale nieco ciemniejsze od turkusu, który tak uwielbiała. Pewnie stanowiło relikwiarz jakiejś poprzedniej kolorystyki, którą zastąpił niedawno turkusowy zalew. Miałam już je rzucić z powrotem tam, gdzie leżało, żeby sami je znaleźli i wyciągnęli wnioski, jakie się tylko da. W moim dziewiczym umyśle pojawiła się jednak myśl o odciskach palców, a ponieważ obracałam je w dłoniach dość długo i tajemnicza dziedzina daktyloskopii napawała mnie typową dla laika trwogą, wetknęłam je do torebki obok notesu z adresami.

Wyjrzałam przez szparę, jaką wcześniej przygotowałam. Nikogo nie zobaczyłam. Szybko wyszłam na korytarz i zamknęłam za sobą drzwi. Obok windy znajdowała się klatka schodowa; wybrałam właśnie schody, które wydały mi się drogą szybszą i bezpieczniejszą. Na dole też nikogo nie zastałam. Budynek posiadał naprawdę dyskretną obsługę.

Otworzyłam drzwi na ulicę i wyszłam, a z pierwszym haustem świeżego powietrza spadło na mnie obezwładniające poczucie nierzeczywistości, jakbym nie mogła uwierzyć, że byłam tam, gdzie byłam, i widziałam, co widziałam. Szybko odeszłam z tego koszmarnego miejsca, nie oglądając się za siebie. Czułam strach i mdłości, i ogółem to, co się czuje po takim przejściu; ponad tym wszystkim jednak rozbrzmiewał

w mojej głowie nieustępliwy refren: „Mam go z powrotem. *Ona* nie może już mi go odebrać, już nigdy”.

Przez chwilę cieszyłam się nawet, że nie ma go w domu, gdy wróciłam. Ale tylko przez chwilę. Potrzebowałam czasu, troszkę czasu dla siebie, żeby się uspokoić, żeby wziąć się po tym wszystkim w garść. Miałam gęsią skórę. Moje dłonie były zimne i lepkie od potu i co kilka minut zaczynałam się nagle trząść jak osika i równie nagle przestawałam. Zdjęłam starannie wybrany strój, który miałam na sobie, i schowałam, żeby go nie widzieć. Nie został doceniony.

Poczułam się lepiej, byłam spokojniejsza, gdy tylko znikły z widoku zewnętrzne pamiątki koszmarnej wyprawy. Aż tu nagle, akurat w chwili, gdy miałam zaparzyć kubek czarnej kawy, by zakończyć proces dochodzenia do siebie, znowu ogarnął mnie strach. Tym razem w pełni ukształtowany, bezpośrednio mnie dotyczący, zrodzony tu, gdzie mieszkalam, i związany ze mną i z nim. Nie jakiś tam dziecięcy lęk przed ciałem obcej kobiety w obcym miejscu, w którym w ogóle nie miałam prawa się znaleźć. Nagle zdałam sobie sprawę, czego naprawdę powinnam się bać.

Mógł tam pójść i beznadziejnie się w tę sprawę zaplątać. Muszę go złapać, ostrzec, żeby się tam nie zbliżał, żeby trzymał się z daleka. Próbował już skontaktować się z nią telefonicznie, kiedy tam byłam. Może powtórzył próbę już po moim wyjściu. A potem, skoro mu się nie udało, mógł udać się tam osobiście.

Gdy rzucałam to, co akurat robiłam, spiesząc się, jakby się paliło, kiedy pędziłam do telefonu, nie potrafiłam zrozumieć, jak mogłam nie wziąć tego pod uwagę aż do tej pory. Byłam na tyle przezorna, że zabrałam z jej mieszkania notes z jego nazwiskiem i telefonem w środku, lecz nie przyszło mi do głowy, by podjąć ten najważniejszy środek ostrożności ze wszystkich: by go ostrzec. W moim

mózgu, widać, nie zaskoczył jakiś trybik. Tylko dlatego, że sama miałam świadomość, co się z nią stało, założyłam chyba, że on też o tym wie. A skąd niby miał wiedzieć, dopóki nie potknąłby się o nią, tak jak ja?

Wykręcałam numer tak szybko, że dziurkowana tarcza zamazywała mi się przed oczami. Dlaczego tak długo zwlekałam? Ciągle nie mogłam zrozumieć, co sprawiło, że przeoczyłam tak oczywistą konieczność. Powinnam była do niego zadzwonić, gdy tylko stamtąd wyszłam, z pierwszej lepszej budki, na jaką bym się natknęła.

Znowu odezwała się sekretarka.

Mój głos był jak paroksyzm dźwięku bez słów, płynęły jedynie myśli. — Kirk... Pan Murray... Szybko! — Nareszcie to z siebie wydusiłam.

Sekretarka odezwała się: — Właśnie wyszedł. Dosłownie przed minutą. Minął mnie tuż przed tym, jak pani...

Pozwoliłam, by powieki mi opadły, wzięłam długi wdech.

Głos mi powrócił, choć rwał się i nie mogłam nad tym zapanować. — Frances, niech pani za nim pobiegnie, niech go pani zawróci! To strasznie pilne! Muszę z nim pomówić, zanim wyjdzie z budynku!

Znałam ich biuro, wiedziałam, jak długo idzie się do wind.

Przeleżała się mego lęku. — Chwileczkę, może złapię go jeszcze na korytarzu!

Usłyszałam stukot, kiedy odsuwała się od centralki, usłyszałam cichnący tupot jej stóp. Musiał być jeszcze w zasięgu wzroku, gdy otworzyła drzwi, bo usłyszałam nawet, jak woła go po nazwisku. Jej głos powrócił do mnie echem z bardzo daleka, odbity od ścian długiego, pustego korytarza.

— Panie Murray!

Nastąpiło oczekiwanie, które, jak mi się zdawało, nigdy nie będzie mieć końca. Do diabła z moim i jego wstydem;

do diabła z nieśmiałością; teraz chodziło o kwestie zasadnicze, o życie, jego i moje. Powiem mu: „Kirk, trzymaj się od tej kobiety z daleka! Nie pytaj mnie, kogo mam na myśli ani skąd wiem! Posłuchaj mnie teraz, jeśli nawet nigdy dotąd mnie nie słuchałeś. *Nie zbliżaj się tam!*” I wtedy musiałabym mu powiedzieć. „Ona nie żyje... coś jej się stało!” A następnie powinnam wskazać mu jakiś kierunek w tej pierwszej chwili szoku, delikatnie, ze zrozumieniem, bez wyrzutów: „Wracaj do mnie, do domu; wracaj do domu, gdzie jest twoje miejsce... Przygotuję ci kolację i nie będziemy o tym mówić”.

Nie będziemy. O, nie. Niech już tylko podejdzie do telefonu, a nigdy nawet o tym nie wspomnę, choćby w myślach.

Jej kroki wracały. Usłyszałam spowodowany wysiłkiem przyspieszony oddech, a dopiero po chwili głos. Zaraz powie: „Już tu idzie, pani Murray. Zdążyłam go zawrócić, ale niewiele bra...”

Powiedziała: — Widziałam, jak idzie korytarzem, i zawołałam, ale nie usłyszał mnie w porę. A zanim dobiegłam, windziarz zamknął drzwi. To była winda ekspresowa; nie zawróci, choćby się nie wiem jak głośno waliło w drzwi... — I w końcu padły te, och, najbardziej niestosowne słowa, jakie można wymówić do kogoś w agonii: — Przykro mi, pani Murray.

Nie było teraz sposobu, by złapać go w porę. Wybierał się tam, w tamto miejsce, a ja nie mogłam zrobić nic, aby go zatrzymać. Cieniutka nić nadziei pękła. Otrzymałam półgodzinne odroczenie od chwili, gdy stamtąd wyszłam, do czasu powrotu tutaj, ale tym odroczeniem wzgardziłam. Tym samym wzgardziłam nim. A wraz z nim także i sobą.

W półmroku snułam się po mieszkaniu jak ledwo widoczna postać w oparach tureckiej łaźni. Przynajmniej tak to odbierałam od środka, niezależnie od tego,

jak wyglądałam z zewnątrz. Najstraszniejsza ze wszystkiego była świadomość, że podczas gdy ja plątałam się tak bezradnie, umierając kawałek po kawałku, on pokonywał kolejne ulice — pieszo, taksówką czy metrem — zbliżając się do koszmarnego miejsca przeznaczenia. I w swej rozgorączkowanej wyobraźni widziałam uśmiechniętą szeroko trupa główkę czekającą na niego w wejściu do buduaru, kościste ramiona wyciągnięte, by go pochwycić w objęcia tak przerażające, jakie za życia nigdy nie były, by opleść go i już nigdy nie wypuścić.

W pewnym momencie przyszło mi do głowy, że mogłabym go ocalić, gdybym sama zadzwoniła na policję, gdybym tylko zrobiła to we właściwym czasie. Wówczas przynajmniej zjawiłby się tam po nich, a nie przed nimi. Rozumiałam jednak, dlaczego wzbraniałam się przed tym, aż było za późno. Bałam się, że dojdzie wówczas do tego, czego nade wszystko pragnęłam uniknąć — bałam się, że go wpłacę. A teraz było za późno; teraz już nie ośmielę się tego zrobić, bo skutek będzie taki, że policja zjawi się tam tuż za nim.

Szarość zmierzchu przeszła w atramentową czerń nocy, a ja nie zapalałam światła. Po co, co miałabym zobaczyć? Światło jest po to, by coś przy nim widzieć, a ja chciałam teraz widzieć jedynie jego twarz. Światło nie mogło mi jej ukazać, bo go tu nie było.

Jasnozielone kółko o dwunastu skośnych oczach, zupełnie jak dziecięcy szkic twarzy, wpatrywało się we mnie z miejsca, gdzie stał zegar. Zadając mi ból, coraz większy, coraz nieznośniejszy ból. Przez krótką chwilę żywiłam się nadzieją, że może zamierzał najpierw przyjść tutaj, choćby po to, by zabrać swoją spakowaną walizkę, choćby po to, by powiedzieć: „Alberto, odchodzę”. Ta nikła nadzieja dawno już jednak szczyła. Zabiły ją oczy zegara. Dawno już minął czas jego powrotu do domu. Nie zamierzał najpierw

przyjść tutaj. Była już pora zmywania naczyń po kolacji. Pora, gdy on nastawiał w radiu audycję Boba Hope'a i siedział, parszając zduszonym śmiechem, jakim zwykle parskał, gdy śmiał się sam do siebie.

Ale w mieszkaniu było ciemno. Nie rozbrzmiewał śmiech, nie unosił się dym z papierosa. Byłam sama, zagubiona, wystraszona istota snująca się w świecie, który rozpadł się wokół jak skorupka jajka.

Raz wzięłam do rąk zegar, podniosłam go i ścisnęłam ten okrągły kształt, i potrząsnęłam, jakbym chciała wydusić z niego odrobinę litości, błagając: „Och, spraw, żeby przyszedł... *proszę*, spraw, żeby przyszedł! Oddaj mi go...”

A on tylko tykał: „Cyk... cyk... cyk...”

Czasami stawiałam przy oknie, chłodząc o szybę rozpaloną twarz. Czasami siadałam, przyciskając dłonie do oczu. Czasami wstawiałam i chodziłam z pokoju do pokoju, wchodząc i wychodząc, i znowu wchodząc, lecz donikąd nie docierając. Czasami szłam do drzwi, otwierałam je szeroko i stałam tak, wyglądając, jakby w nadziei, że przywieje go do mnie jakiś szczęśliwy wiatr. Ale tak się nie stało; on się nie pojawiał.

Zdawało się, że trwa to tak długo. Niemożliwe, żeby to był wciąż ten sam wieczór, prawda? To musiała być jakaś sztuczka, zlepek wieczorów z całego tygodnia, miesiąca nawet, solidnie ze sobą połączonych, nie oddzielonych dniami.

W końcu, niczym nie dająca się zlekceważyć przestroga pochodząca z głębi mego jestestwa, nadeszła chwila, gdy wiedziałam, że dłużej już tu nie wytrzymam. Och, mówiłam sobie, że nie wytrzymam, chyba już ze sto razy, ale to było tylko gadanie; teraz naprawdę to poczułam. Ten dziwny spokój, odrętwienie poprzedzające histerię. Wiedziałam, że jeśli nie wyjdę, choćby po to, by włóczyć się ulicami,

zaraz zacznę wykrzykiwać jego imię, aż wszyscy sąsiedzi pootwierają okna i...

Po ciemku wsadziłam na głowę kapelusz — pierwszy, ostatni chyba i jedyny raz zrobiłam to w ten właśnie sposób. Dotarłam do drzwi; otworzyłam — i oto stał tam, po drugiej stronie, niemal całkiem wypełniając sobą wąską framugę.

To było niesamowite, prawie jak telepatia. Podniosłam rękę i dotknęłam go w miejscu, gdzie krawat ginął pod kamizelką. Jakież to było wspaniałe uczucie. Wspaniałe; był taki namacalny, taki *ciepły*, taki *obecny*. Nie miałam pojęcia, że radość może działać podobnie jak dżin; i jedno, i drugie paliło w środku jak diabli.

Histeria uszła w postaci kilku łzawych szlochów, które wykradły się i chyłkiem umknęły, jakby się zawstydyziły, i na tym koniec.

Wyciągnęłam drugą rękę do kontaktu i zalało go światło. Zalało go światło z przodu, z wnętrza naszego mieszkania, ale też słaba poświata bijąca od żarówki w głębi korytarza.

Stał tam sobie tak śmiesznie, pewnie szukając klucza, pomyślałam. Prawie nigdy nie mógł go znaleźć w chwili, gdy go potrzebował. Słyszałam nawet cichutkie pobrzękiwanie metalu, kiedy próbował wygrzebać go z kieszeni.

Uczestniczył w bójce. Co mnie to obchodziło! Mógł sobie uczestniczyć i w dziesięciu, ważne, że już do mnie wrócił. Miał rozciętą wargę i skaleczenie nad okiem, a kosmyk włosów opadał mu na czoło jak mokry haczyk na ryby. Jakoś dziwnie brakowało tylko zapachu alkoholu, który by do tego pasował.

Wyciągnęłam rękę i odgarnęłam haczyk na miejsce, lecz znów opadł. Oplotłam ramionami jego szyję, wtuliłam w niego twarz i westchnęłam głęboko.

Czekałam, aż mnie oplotą jego ramiona, lecz się nie doczekałam. „Jeszcze się trochę na mnie gniewa”,

pomyślałam ze smutkiem.

Nic mnie to jednak nie obchodziło; mógł się złościć, ile tylko chciał, byleby trwał w tej złości przy mnie.

Niespodziewanie pchnął mnie przed sobą, a gdy zdumiona podniosłam wzrok, spostrzegłam, że to nie on, lecz dwóch mężczyzn, którzy stali wraz z nim, każdy po jednej ze stron — to oni popchnęli *jego*.

Aż dotąd ich nie zauważyłam; wejście nie było zbyt szerokie — zresztą to na *niego* teraz patrzyłam. Pomiedzy jego ręką a ręką jednego z tamtych połyskiwał łańcuszek, mimo że trzymał dłoń w kieszeni, próbując go przede mną ukryć. Druga ręka — cóż, drugi z mężczyzn trzymał ją ciasno przy jego boku za mankiet, ciasno jak w imadle.

Jednak to ten łańcuszek... nie mogłam oderwać od niego oczu. Ranił mnie; tak ciasno oplatał się wokół... mego serca.

Rzekł do mnie delikatnie: — Nie bój się, Alberto. Wszystko w porządku.

Jeden z tych obcych, stojący tak blisko nas obojga, powiedział: — W porządku, dobre sobie.

My jednak nie widzieliśmy poza sobą świata, nawet kiedy drzwi się zamknęły i wszyscy znaleźliśmy się w środku. Staliśmy tak, nas dwoje, w tym naszym własnym światku wypełnionym strachem, a poza nami nikt nie istniał.

Powiedział: — Uważają, że ja... — Urwał i zaczął od nowa. — Cóż, posłuchaj, zdarzyło się...

— Wiem. Wiem o tym. To nie byłeś *ty*. Powiedz im. Kirk, to nie ty. Powiedz.

— No, powiedz nam, Kirk — wtrącił się jeden z nich.

Nie słyszeliśmy ich; nie pamiętaliśmy nawet, że tam są. Jeden odsunął się zresztą, żeby rozejrzeć się po mieszkaniu.

— Skąd wiesz? Czy w radiu...?

— Byłam tam — odparłam. — Byłam tam akurat, kiedy ty...